

Nagrody Nobla 2021 przyznane

Nagroda Nobla

Nagroda Nobla to najbardziej prestiżowe wyróżnienie na świecie przyznawane za wybitne osiągnięcia naukowe, literackie oraz społeczne.

Nagrody przyznawane są już od 120 lat, każdego roku w dniu 10 grudnia, w rocznicę śmierci Alfreda Nobla (pomysłodawcy i fundatora tejże nagrody). W tym roku uroczystość wręczenia nagród, z powodu pandemii koronawirusa, odbędzie się online. Wysokość nagrody sięga do 10 milionów koron szwedzkich, co jest równoważnością ok. 980 tys. euro. Dodatkowo zwycięzcy otrzymują dyplom oraz złoty medal.

Nagrody wręczane są osobom, bądź instytucjom, w następujących dziedzinach: fizyce, chemii - wówczas wyróżnienie przyznaje Szwedzka Królewska Akademia Nauk, medycynie lub fizjologii - wręcza Szwedzki Królewski Karoliński Instytut Medycyny - Chirurgicznej, literaturze – to wyróżnienie wręcza Akademia Szwedzka. Pokojowa Nagroda Nobla jest zaś przyznawana przez Komitet Nobla norweskiego parlamentu. Od 1969 roku nagradzane są również osiągnięcia w dziedzinie ekonomii, przez Szwedzką Królewską Akademię Nauk, której fundatorem jest Bank Szwecji.

Osiągnięcia i laureaci nauk

Wyróżnienie z medycyny, ogłoszone 4 października b.r., trafiło do dwóch biologów molekularnych Davida Juliusa i Ardena Patapoutiana za odkrycie receptorów temperatury i dotyku, które, jak podkreślają specjaliści, będą przydatne przy leczeniu różnych neuropatii, czyli uszkodzeń nerwów obwodowych.

Laureatami Nagrody Nobla z fizyki, ogłoszonymi 5 października b.r., są Syukuro Manabe, Klaus Hasselmann i Giorgio Parisi. Parisi został doceniony za wykazanie, w jaki sposób zwiększony poziom dwutlenku węgla w atmosferze prowadzi do wzrostu temperatury na powierzchni Ziemi. Komitet Noblowski dodaje, że praca uczonego dała podstawy dla rozwoju obecnych modeli klimatycznych. Manabe oraz Hasselmann zostali uhonorowani za wkład w „rozwoj fizycznego modelowania klimatu Ziemi, co pozwoliło ilościowo określić jego zmienność” i „wiarygodne przewidywanie globalnego ocieplenia”.



Nagroda Nobla

Nobel z chemii 6 października b.r. trafił do Benjamin Listy oraz Davida MacMillana za odkrycie asymetrycznej katalizy organoleptycznej. Tłumacząc na język przeciętnego Kowalskiego, odkrycie to ma zastosowanie przy tworzeniu leków, ułatwia ich produkcję, zmniejsza koszt procesu produkcji oraz ma zdecydowanie pozytywny wpływ na środowisko. Pozwala na produkcję leków, ale również kosmetyków i plastiku w niższych temperaturach, w bardziej naturalny sposób.

Nagroda z ekonomii ogłoszona 11 października b.r., tak samo jak w przypadku Nobla z fizyki, została podzielona między trzech naukowców. Są nimi: David Card, Joshua David Angrist, Gudio Wilhelmus Imbens. Połowa głównej nagrody znajduje się w rękach D. Carda, a dwaj pozostali

uczni podzielą się pozostałą sumą. Laureaci zostali docenieni za swój wkład w rozwój metodologii badania ekonomii pracy.

Literacka Nagroda Nobla oraz pierwsza od 1935 nagroda dla dziennikarza

7 października b.r. został ogłoszony laureat literackiej Nagrody Nobla, został nim pochodzący z Afryki tanzański pisarz Abdulrazak Gurnah. Jest on autorem powieści i licznych opowiadań. W swoich tekstach porusza tematykę związaną z emigracją. Inspiracje czerpie z własnych doświadczeń. Komitet docenił jego „bezkompromisową i cechującą się współczuciem refleksją nad skutkami kolonializmu i losem uchodźców, znajdujących się w przepaści między kultu-

rami i kontynentami”. Niestety jeszcze żadne teksty noblisty nie zostały przetłumaczone na język polski.

8 października b.r. ogłoszono laureatów Pokojowej Nagrody Nobla. Wyróżnione zostały dwie osoby, pochodząca z Filipin dziennikarka Maria Ressa i rosyjski dziennikarz Dmitrij Muratow. Nagroda została przyznana za wysiłki włożone w ochronę wolności słowa, niezbędnej dla demokracji i pokoju, za walkę o swobodę wypowiedzi. Jest to tym bardziej ważna nagroda, ponieważ podkreśla on jak ważne jest niezależne i oparte na faktach dziennikarstwo, które służy ochronie przed nadużyciem władzy, propagandą i kłamstwami.

Hanna KUŁAK
hankul@st.amu.edu.pl



To nie jest łatwy
powrót na uczelnię
s. 2

Polecamy



Dziadkowie Biznesu
– co to za inicjatywa?
s. 3



Słów kilka
o nowym Bondzie
s. 7



Maja Włoszczowska
– życie na sportowym
piedestale
s. 8

Od redakcji



Kochani Czytelnicy!

Początek nowego roku akademickiego był dla nas wszystkich dość skomplikowany. Powrót na uczelnię w formie zajęć hybrydowych nie do końca każdemu odpowiada, ale musimy się wszyscy przystosować. Mamy nadzieję, że to co najgorsze, czyli przyzwyczajenie się do zaistniałej sytuacji, już za Wami i możecie teraz skupić się na ekscytującym życiu studenckim. Z większych zmian w BUC-u: witam się z Wami ja – nowa redaktor naczelna. Mam nadzieję, że ta zmiana przyniesie same korzyści, a Czasopismo będzie funkcjonowało przynajmniej tak dobrze, jak „za czasów” Sylwii.

Nie możemy doczekać się rekrutacji, która już niebawem, a zwłaszcza nowych twarzy, które zawitają w naszym małym BUC-owym półświatku. Nowe i pełne pomysłów głowy, to coś, co zawsze nas cieszy. Przedostatnim punktem mojej skromnej wiadomości do Was jest podziękowanie dla Sylwii: za cały jej wkład w redakcję, za opiekę merytoryczną i organizacyjną nad redaktorami i wiele, wiele więcej. Życzymy Ci powodzenia i liczymy na to, że BUC będzie na długo w Twoim serduszu – wraz z przyjemnymi wspomnieniami współpracy z nami.

Na sam koniec pragnę życzyć Wam powodzenia w nowym roku akademickim. W wolnych chwilach zaglądnijcie na naszą stronę internetową oraz do nowych wydań czasopisma. Tak jak obiecaliśmy, wracamy do Was po przerwie pełni energii, pomysłów i innych dobroci, jakich będziecie mogli doświadczać zaglądając na nasze social media. Życzymy Wam przyjemnej lektury. Trzymajcie się ciepło!

Redaktor naczelna
Wiktoria Wesolek



To nie jest łatwy powrót

Niewykluczone, że będzie to nawet trudniejszy powrót, niż wszystkie dotychczasowe powroty na zajęcia po wakacjach. To nie jest zresztą wymysł autora. Taką opinię wyraziła podczas niedawnego spotkania z dziennikarzami rektor naszego uniwersytetu, prof. dr hab. Bogumiła Kanińska. Chodzi oczywiście o obawy związane z pandemią koronawirusa. Ale nie tylko.

– Jest grupa osób, które uważają, że wracamy na uczelnię za wcześnie – powiedziała podczas wspomnianej konferencji rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Bogumiła Kanińska skupiła się na kwestiach zdrowotnych, zapewniając jednocześnie, że dostęp do szczepień znacznie obniżył zagrożenie epidemiczne związane z powrotem zajęć stacjonarnych. W teorii mamy w nowym semestrze na UAM tryb hybrydowy. Zajęć praktycznych, ćwiczeń, konwersatoriów czy laboratoriów jest jednak tak dużo, że spokojnie możemy mówić o powrocie do nauki stacjonarnej. Bo z perspektywy studenta, który znów musi zorganizować sobie lokal, bilet lub samochód do transportu na zajęcia, dni ze zdalnymi wykładami nie mają już takiego znaczenia.

I to właśnie jest drugi, jeśli nie pierwszy i w zasadzie najważniejszy, powód niechęci studentów do zajęć w budynkach uczelni. Rozmawiałem ostatnio na

To nie jest łatwy powrót na uczelnię

ten temat z przedstawicielką NZS-u na uniwerku ekonomicznym. Co nie podoba się tamtejszym studentom w nauce stacjonarnej? Brak elastyczności, która pozwalała na podjęcie pracy, także na studiach dziennych, często chwilę po zakończeniu wykładu, a niekiedy nawet w trakcie. Ten problem dostrzegam też u swoich rówieśników, bo przecież sam wciąż studiuje. Tyczy się to zresztą poświęcenia nie tylko pracy zawodowej, ale też wygody, dłuższego snu czy chociażby możliwości ugotowania sobie lepszego obiadu między wykładami. Dla studentów studiów zaocznych to z kolei kłopot z zapewnieniem sobie noclegu na przynajmniej ten jeden weekend w miesiącu.

Zapewne w innych okolicznościach nie pisałbym o tych problemach wcale. Studia rozpoczynałem dobre cztery lata temu i wówczas ten artykuł plasowałby się na półce podpisanej jako fantastyka. Pewnie nie pisałbym dziś o tych problemach, gdybyśmy przez ostatni rok nie przyzwyczaili się do nauki zdalnej. A chyba jednak przywykliśmy, i to bardzo. To też ciekawe, jak bardzo to przyzwyczaj-

nie wpłynie na inne elementy życia studenckiego. Czy uczelniane imprezy, jeśli w ogóle się odbędą, znowu przyciągną tłumy chętnych? Czy studenci rzucą się do barów, tak samo jak zrobiło to chyba pół Polski, kiedy po wielu miesiącach zakończył się lockdown lokali gastronomicznych? Trudno to teraz przewidzieć. Na pewno część przyzwyczajęń pozostanie z nami na dłużej. Rektor Politechniki Poznańskiej już jakiś czas temu zapowiadał, że nawet co piąte zajęcia na polibudzie mogą w przyszłości nadal odbywać się online.

To nie jest łatwy powrót na uczelnię jeszcze z jednego powodu. Cały czas towarzyszy nam niepewność związana ze wzrostem liczby zakażeń i czwartą falą. Zamknięcie uczelni i przejście w tryb nauki zdalnej w perspektywie kilku lub kilkunastu tygodni jest bardzo prawdopodobne. Prof. dr hab. Bogumiła Kanińska zapewniła przed inauguracją roku, że uczelnia jest na taką okoliczność przygotowana. Pytanie brzmi – na co bardziej przygotowani są studenci?

Krzysztof Polasik
kpolasik98@gmail.com



Redaktor miesiąca

Część! Nazywam się Karolina Kozłowska i jestem w redakcji od roku. Zajmuję się pisaniem artykułów dla działu kultury, lecz moje teksty możecie znaleźć również w innych miejscach gazety. Jestem osobą otwartą, która lubi podejmować się nowych wyzwań. Czytanie książek oraz oglądanie seriali to mój idealny sposób na odświeżenie.



Wydawca
Wydział nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelny
Wiktoria Wesolek
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Krzysztof Polasik
Sekretarz redakcji
Aleksandra Kłosowska
Numer makietał
Krzysztof Polasik,
Wiktoria Wesolek

Wydawca numeru
Krzysztof Polasik,
Wiktoria Wesolek
Redakcja
Daria Bajorek
Darya Burdyka
Anastazja Burnel
Adam Cęćciński
Julia Czekalska
PR i Social Media
Aleksandra Kłosowska,
Milena Mrozek, Emilia

Szkobodzińska, Wiktoria
Wesolek
Redakcja
Daria Bajorek
Darya Burdyka
Anastazja Burnel
Adam Cęćciński
Julia Czekalska
Justyna Furmaniak
Julia Gawłowska
Paweł Głuszyski

Marta Godurkiewicz
Marika Grzech
Ada Grzeszczyk
Milena Guzik
Darya Hurosh
Bartosz Kabaciński
Julia Kaczmarek
Wiktor Kępiński
Aleksandra Kłosowska
Karina Konyś
Filip Kopera

Karolina Kozłowska
Hanna Kulak
Kamil Kwiatkowski
Kacper Lewandowski
Kuba Lipnicki
Maria Lutkowska
Natalia Łaszewska
Klaudia Michalak
Olga Michalska
Stanisław Mrowicki
Milena Mrozek

Marcin Ostrowski
Wiktor Pohorecki
Krzysztof Polasik
Florentyna Rybczyńska
Olga Rydzewska
Wiktoria Różak
Michał Rzeźnik
Karolina Sieradzan
Ilona Skrzypczak
Emilia Szkobodzińska
Karolina Szymczak

Izabela Tomaszewska
Kacper Tyczewski
Wiktoria Wesolek
Eryk Więsyk
Martyna Woźniak

Fotoedytor
Martyna Woźniak
Autor logo
Andrzej Szymczak
Opieka nad redakcją
Red. Lesław Ciesiołka
Skład komputerowy
Tomasz Szukała

Ty jesteś jak przygoda

Tuż przed początkiem semestru miałem okazję pojechać na Litwę i spędzić tam kilka dni. Czas ten z pewnością nie był czasem straconym. Mimo tego, że Litwa jest małym krajem, jest tam sporo do zobaczenia, usłyszenia i posmakowania. Od starych zamków i muzeów, poprzez piękne lasy i jeziora, kraj ten ma wiele do zaoferowania turystom gotowym na przygodę.

Ile cię trzeba zwiedzić

Co można zwiedzić na Litwie? Dla osób zainteresowanych historią znajdą się zarówno zamki, jak i muzea. Zamek w Trokach jest świetnie odrestaurowany i znajduje się w nim zarówno mała galeria sztuki, jak i zbiór przedmiotów codziennych, na przykład przepięknie wyrzeźbione fajki. Najpiękniejszy zamek, a raczej zamki, znajdują się w Wilnie. Stary Górný zamek, który swą historią sięga początków miasta, oraz Dolny, który sięga czasów Jagiellonów. Można też zwiedzić wiele kościołów prawosławnych, katedrę i muzea. Dla osób zainteresowanych muzyką odbywają się liczne koncerty: zarówno muzyki klasycznej, jak i nowoczesnej.

Tylko rowerzysta się dowie

Dla rowerzystów też wiele się znajdzie. Sam będąc na Litwie przejechałem ponad 100 kilometrów rowerem i nie byłem zawiedziony. Jest pełno ścieżek rowerowych oraz ładnych miejsc, które można zobaczyć po drodze, albo zatrzymać się na odpoczynek. Od pięknych drewnianych kościółków, jezior czy starych dworów. W wielu miejscach można też znaleźć ścieżki rowerowe. W samym Wilnie jest ich sporo,

Litwo, ojczyzno nie-moja



Zamek w Trokach

więc nawet większość miasta można zwiedzić na dwóch kołach. Jedynym wyzwaniem jest bardziej pagórkowaty teren, ale nie będzie on wyzwaniem dla osób z kondycją.

Kto cię posmakował

Jak można się domyślić, po długiej jeździe rowerem czy zwiedzeniu muzeum, wypadłoby coś zjeść. Litwa może sporo zaoferować dla tych, którzy chcą wrzucić coś na ząb. Gastronomia naszego sąsiada jest na bardzo wysokim poziomie. Szczególnie wędliny, co pewnie wielu zaskoczy, przerastają jakością do z

Polski. Z tradycyjnych dań wypada spróbować tzw. cepelinów, czyli dużych ziemniaczanych pyz z mięsem. Są również kibiny, czyli znacznie większa i bardziej przypieczona wersja znanych nam wszystkim pierogów, oraz na deser: sękacz – przypominające choinkę słodkie ciasto.

Dziś niezależność twą...

Jadących na Litwę muszą jednak przed czymś przestrzec. Litwini nie patrzą na naszą wspólną przeszłość, konkretnie Unię Polsko-Litewską, tak przychylnym okiem jak Polacy.

Można nawet powiedzieć, że Polskę w tym układzie, widzi się jako kolonizatorów, którzy ograniczali niezależność ich ojczyzny. Dodatkowo aneksja Wilna przez Lucjana Żeligowskiego, na rozkaz Marszałka Piłsudskiego, nadal są plamą na naszej wspólnej przeszłości.

Widzę i opisuję

Nie oznacza to jednak, że sami Litwini Polaków nie lubią. Oczywiście, jest znacznie więcej krytyki względem naszej przeszłości, ale wspólne cierpienie pod jarzmem komunistów poprawiło nasze relacje i jak na razie Polska i Litwa są dobrymi sąsiadami. Sam miałem okazję porozmawiać z kilkoma miejscowymi i poruszyłem z nimi ten temat. Zauważyłem, że dzielą z nami głęboką miłość do niezależności swojego kraju oraz odrębność swojej kultury od innych. Co nie jest dziwne. Mimo wszystko Polacy również lubią podkreślać odrębność swojej kultury od kultury Niemiec, czy Rosji.

Tęsknić nie trzeba

Tak więc wszystkich chętnych: zapraszam na Litwę! Z pewnością nie jest to daleka wycieczka, a nawet w czasie pandemii, można łatwo ją zorganizować i z odpowiednimi dokumentami jeździć po całym kraju. Jest to wyprawa, podczas której można wiele zobaczyć, wiele się dowiedzieć i zobaczyć nową perspektywę wspólnej przeszłości obu nacji.

Stanisław Mrowicki
stamro@st.amu.edu.pl

Dziadkowie Biznesu – nadzwyczajna inicjatywa w dobie pandemii

Negatywny wpływ pandemii na rozwój małych biznesów jest zauważalny gołym okiem. Okres izolacji i szeregu restrykcji wiązał się ze znacznym ograniczeniem działalności małych przedsiębiorstw. Bardzo mocno odczuli to seniorzy, prowadzący swoje zakłady i biznesy najczęściej bez internetowej promocji.

Tak narodziła się inicjatywa szóstki studentów z Uniwersytetu Warszawskiego, którzy w ramach projektu „Zwolnieni z teorii”, postanowili pomóc starszym przedsiębiorcom w promocji ich działalności gospodarczych. Projekt okazał się przysłowiowym strzałem w dziesiątkę i w kilka dni rozprzestrzenił się na skalę ogólnokrajową. Jako społeczeństwo wychowane w dobie ciągle rozwijającego się internetu mamy możliwość działania zdecydowanie efektywniej. Swoim przekazem docieramy do ciągle powiększającego się grona odbiorców, korzystających z portali społecznościowych. Założyciele kampanii Dziadkowie Biznesu wiedzieli o tym doskonale i wykorzystali tę wiedzę w praktyce. I o tym właśnie rozmawiałam z Julią Czumaj – jednym z pomysłodawców społecznej kampanii Dziadkowie Biznesu, która podczas naszej rozmowy opowiedziała o całym projekcie.

Kwestia, która niezwykle mnie ciekawi to nazwa waszego projektu. Dlaczego właśnie Dziadkowie Biznesu?

Bardzo długo próbowaliśmy wybrać dobrą nazwę. Jako studenci kierunku biznesowego doszliśmy do wniosku, że właśnie w tę stronę pójdziemy. Chcieliśmy, żeby była chwytliwa, ale zależało nam również na podkreśleniu bliskości, jaka łączy nas z seniorami. Nazwa, na



Założyciele Dziadków Biznesu w trakcie tworzenia materiału promocyjnego

jaką ostatecznie się zdecydowaliśmy, czyli Dziadkowie Biznesu, to pomysł Filipa.

Jak początkowo wyglądał proces szukania zakładów prowadzonych przez seniorów? Czy dotyczyło to tylko biznesów działających na terenie Warszawy?

Zaczął się od wielokrotnego pukania do drzwi zakładów i formułki w stylu: „Dzień dobry, bo my robimy taki projekt i może byliby Państwo zainteresowani...”. Bardzo trudno było przedstawić całą ideę, gdy nic jeszcze nie ruszyło i nie mieliśmy żadnego dowodu na istnienie naszej platformy. Większość z nas jest z Warszawy i stąd jest nasz pierwszy post. Staraliśmy się jednak od początku pokazać, że działamy na terenie całej Polski i w przeciągu pierwszych kilku dni opublikowaliśmy też biznesy z Łodzi czy Białegostoku.

A jak ten proces wygląda teraz, kiedy o projekcie wie tak szerokie grono odbiorców?

Teraz z całego kraju wysyłane są nam zakłady czyichś rodziców, dziadków czy sąsiadów. Stworzyliśmy bazę biznesów do wstawiania, gdzie mamy rozpisane, który post, kiedy wstawić. I jak najbardziej zachęcamy wszystkich do zgłaszania nam biznesów ze swoich okolic. Nie chcemy kończyć akcji, ale bez pomocy ludzi i materiału do publikacji, nie będziemy mogli działać.

Kiedy zdaliście sobie sprawę, że ta inicjatywa to już nie tylko mało zobowiązujący projekt studencki, a społeczna kampania niosąca realną pomoc małym biznesom w fazie kryzysu?

Nadeszło to szybciej, niż można było się tego spodziewać, ale to chyba znaczy, że ludzie na

coś takiego czekali i byli chętni do pomocy. Już w pierwszym tygodniu nasze konto na Instagramie przekroczyło 20 tysięcy obserwujących. Od tamtego momentu wiedzieliśmy, że ten projekt zostanie z nami na długo. Największą przyjemnością jednak sprawia widok naszych „podopiecznych”, gdy mówią, że biznesy ruszyły na nowo i nasza pomoc jest realna. To właśnie dla nich działamy i nie mamy planów się nigdzie ruszać.

Jak zamierzacie rozwijać tę inicjatywę? Czego nowego możemy się spodziewać?

Jesteśmy w trakcie przekształcania się w stowarzyszenie, a już bardzo niedługo szykuje się coś wielkiego. Niestety jedyne co na ten moment mogę powiedzieć to że praca wre.

Czy rzeczywiście zostaliście zwolnieni z pisania teorii?

Udało nam się zdobyć statuetkę Złotego Wilka w naszej kategorii, chociaż niektóre projekty deptały nam po piętach. A i przedmiot, w ramach którego mieliśmy wziąć udział w olimpiadzie zaliczony na 5! Cieszymy się, że nasza praca z każdej strony została doceniona i jesteśmy wdzięczni za każdego, kto choć w najmniejszym stopniu pomógł nam i Dziadkom, bo bez pomocy innych nigdy nie byłibyśmy w miejscu, w którym jesteśmy teraz.

Więcej informacji o tym, jak przyczynić się do społecznej kampanii Dziadkowie Biznesu, znajduje się na Instagramie @dziadkowie_biznesu. Jak wspomniała Julia, to właśnie społeczna mobilizacja jest w stanie ratować biznesy seniorów, będąc jednocześnie głównym motorem napędowym do działania. Każdy z nas może być częścią tej fantastycznej inicjatywy. Pokażmy, jakie zasięgi ma internet i razem z Dziadkami Biznesu ratujemy biznesy seniorów!

Milena MROZEK
milmro1@st.amu.edu.pl

„To co poznańskie to bamberskie, co bamberskie to poznańskie”

Wywiad z Dominiką Marciniak

– wolontariuszką w Towarzystwie Bambrów Poznańskich

Pierwszy raz o bambrach dowiedziałam się 8 lat temu, kiedy moja przyjaciółka opowiedziała mi o działalności w Towarzystwie Bambrów Poznańskich. Nigdy mnie to jakoś szczególnie nie interesowało, dopóki nie zdecydowałam się w zeszłym roku wziąć udział w obchodach Święta Bambrów Poznańskich. Wtedy miałam okazję zobaczyć zajawkę działalności Towarzystwa. Jako osoba zainteresowana historią postanowiłam odwiedzić Muzeum Bambrów Poznańskich i dowiedzieć się czegoś więcej. Historia ta mnie urzekła i chciałabym podzielić się nią z innymi, stąd pomysł na wywiad.

Myślę, że zacniemy od najprostszego pytania: kim są bambrzy poznańscy?

Historia Bambrów poznańskich zaczyna się w 1719 roku, kiedy to pierwsza grupa osadników z Bambergu przybyła do Poznania na zaproszenie władz miasta, aby osiedlić się w podpoznańskich wsiach. Pierwszą z tych wsi był Luboń. W kolejnych latach kolejne fale przybywały do Wielkopolski i osiedlały się w kolejnych wsiach. Później bambrzy osiedlili się również we wsiach nie należących do miasta: Wiórek czy Czapury. Były 4 główne fale migracji. Ostatnia miała miejsce w 1753 roku. Osadników, którzy przybyli w latach 1719-1753, nazywano Bambrami.

Bamberscy migrowali z Bambergu nie tylko do Polski. Wiemy, że miała miejsce migracja na Węgry, do Rosji, ale tam historia osadnictwa uległa zapomnieniu. Te osiedlenia się nie udały. Bambrzy, którzy przybywali do Poznania, musieli zaświadczyć, że są katolikami poprzez okazanie aktu chrztu. Było to związane z rozporządzeniem wydanym przez króla Augusta II w 1719 roku, według którego nowo osiedleni na terenie RP musieli być katolikami. Miasto Poznań oferowało im ziemię na zasadzie czynszu. Byli oni zwolnieni na pewien czas z płacenia podatków. Również podarowano im drewno na budowę domu i ziarno pod pierwsze zasiewy. Dlaczego Bambrzy byli potrzebni? Poznań i pobliskie wsie w początku XVIII w. były wyniszczone. Pierwszym powodem była III Wojna Północna. Za maszerującymi wojskami szerzyła się zaraza. W jej wyniku znaczna ilość mieszkańców wsi zmarła. Tereny te opustoszały. Władze miasta podjęły decyzję o sprowadzeniu osadników. Wystosowano odezwę do Bambergu. Są dwie hipotezy: kontakty z Bambergiem mieliśmy ze względów kupieckich, a druga, że biskup poznański i bamberski mieli dobre stosunki i tą drogą zaproszono Bambrów do Wielkopolski.

Skąd dokładnie wiemy, kiedy Bambrzy przybyli do Poznania? Zachował się oryginalny kontrakt i w nim są również zawarte warunki umowy pomiędzy osadnikami a miastem. Naszą tradycją jest odczytywanie tego kontraktu w Święto Bambrów Poznańskich, które odbywa się w pierwszy weekend po 1 sierpnia, wtedy jest ten kontrakt odczytywany. Święto to zos-



Strój Bamberki

tało ustanowione dla uczczenia pierwszego przybycia Bambrów. Data podpisania wspomnianego kontraktu to właśnie 1 sierpnia, stąd właśnie termin święta. Dzisiejsi poznańscy Bambrzy są potomkami tych osadników.

Skąd nazwa Bambrzy, bo my tą nazwę kojarzymy pod innym znaczeniem... a oprócz nazwy Bambrzy użyłaś nazwy Bamberczycy, co różni te pojęcia?

My o sobie mówimy Bambrzy, czyli potomkowie Bambrów. Kiedy mówimy o bamberczykach mamy na myśli obecnych mieszkańców Bambergu. Poruszyłaś kwestię pejoratywnego znaczenia słowa „bambr”. To jest rzecz, z którą stara się walczyć Towarzystwo i którą stara się zmieniać. Kiedyś nazwać kogoś „bam-

br” to była pochwała. Znaczyło to, że jest to dobry gospodarz, który wszystko ma i dobrze zarządza ziemią. Kiedyś było takie znaczenie gwarowe tego słowa. Później zaczęto stosować to pojęcie w sposób negatywny. Prawdopodobnie wiąże się to z czasami PRL-u, kiedy dla władz Bambrzy byli niewygodni i nieprzychylni na nich patrzono. Bambrzy zostawali przy swojej ziemi. Część społeczeństwa uznawano za zacofanych ze swoim przywiązaniem do rodziny i ziemi. Również i to mogło się wiązać ze zmianą znaczeniową tego pojęcia. Inną kwestią była kwestia stroju, do którego Bamberki były bardzo przywiązane przez długi czas. Strój był inny, dla wielu mógł wydawać się dziwny, staromodny, głupi, nieodpowiedni i stąd też to.

Poprzez działalność Towarzystwa staramy się pokazywać Bambrów w innym świetle. Staramy się pokazać piękno strojów, staramy się mówić o pięknej wspólnej historii i podkreślać, że to co poznańskie to bamberskie, co bamberskie to poznańskie. W zasadzie to, co wyróżnia Bambrów to strój i przywiązanie do pamięci o swoich przodkach. Bambrzy mówią po poznańsku, czują się Polakami, Wielkopolanami, poznaniakami i dowody tego dawali wielokrotnie, choćby walcząc w Powstaniu Wielkopolskim.

Czy mogłabyś opowiedzieć jak wygląda strój bambercki, z czego się składa?

O stroju bamberckim można by opowiadać dwa razy tak długo jak ten strój się ubiera. A strój ubiera się naprawdę długo, ponieważ składa się on z wielu elementów, które wymagają wiedzy w jaki sposób i w jakiej kolejności należyte zakładać. I to jest jedna z tradycji, którą stara się chronić nasze TBP. Nie tylko odtwarza te stroje, ale także odtwarza właściwy sposób ich noszenia. Najbardziej podstawową informacją jest to, że stroje, które nosimy, to stroje uroczyste, ubierane na specjalne okazje, przede wszystkim na uroczystości kościelne lub państwowe. Dziś nosimy je na festynach, zabawach itp.

Opowiem więc o ciekawszych elementach. Strój Bambrów nie przyjechał z nimi z Bambergu. Powstał tutaj pod wpływem mody wielkopolskiej, mody miejskiej, częściowo nawet mody biedermejeru i mody rokoka. Mamy zrekonstruowane 4 kolory sukni, które stanowią podstawę tj. amarantowy, szmaragdowy, szafirowy i kremowy w drobne kwiatki. Ten ostatni był również noszony jako suknia panny młodej. Watówki to rodzaje spódnic grubych jak pierzynka, które nadają kształty sylwetce Bamberki, sprawiają, że jest szeroka, sztywona, odstająca. Dzięki temu spódnice pięknie się kołyszą, kiedy Bamberki idą. Kolejnym elementem stroju są korale. Oryginalnie były prawdziwe, nazywane prawidłami, wykonywano je z prawdziwego koralu. Liczba sznurów koralu świadczyła o zamożności bamberki. Co jest nietypowe dla strojów wielkopolskich, do koralu noszono medaliki lub krzyżyki, co było wyrazem religijności Bambrów. Identyfikacja z religią była dla nich bardzo ważna. Nietypowym elementem stroju jest kornet, czyli nakrycie głowy panny. Od przodu zrobiony jest z kwiatów. Przy głowie powinien być rząd różyczek i kilku kolorowych akcentów w tym najważniejszy - czerwony. Z tyłu mamy kokardki zwane wiatrówkami. Ich nazwa wzięła się stąd, że kiedy Bamberka szła to one falowały na wietrze. W kornecie mamy również piórka, złotka, sreberka. Były przekazy historyczne, które mówiły o tym, że były Bamberki, które miały nawet szklane kuleczki lub drobne ptaszki. O stroju można by dużo jeszcze opowiadać, ale nie mogę zdradzić wszystkiego. Zachęcam do odwiedzenia naszego muzeum, obejrzenia rekonstrukcji strojów i wtedy na pewno opowiem więcej i dokładniej.

Mówiłaś też, że ten strój ubiera się długo, jak długo?

Zależy od tego ile danych elementów się ubiera oraz od rangi uroczystości. Historycznie

wiemy, że noszono dwie, trzy watówki, czy dwie, trzy spódniki. Im więcej elementów zakładamy, tym dłużej strój ten się ubiera. Jest też kwestia wprawy. Przykładowo ułożenie chusty, które Bamberki miały na piersiach, jest dość czasochłonne. W naszym Towarzystwie są dziewczyny, które potrafią zrobić to szybko. Wtedy czas się skraca. Na spokojne ubranie się trzeba liczyć od 30 minut do 1 godziny. Co ważne Bamberka nie jest w stanie ubrać się sama. Potrzebuje kogoś do pomocy. Co więcej, dziś wszystko jest na sznurkach, trokach, haftkach i guzikach, żadnych zamków błyskawicznych!

Czy bambrzy są wśród nas?

Oczywiście, że tak. Szacuje się, że nawet co trzeci rodowity poznaniak może mieć choć kroplę krwi bamberskiej. Z czego to wynika? Bambrzy przybyli do wsi wyludnionych. Jak do nich przybywali to był rok 1719-53 i wtedy stanowili w niektórych wsiach nawet większość. Natomiast od 1900 roku te wsie stały się częścią miasta i wtedy Bambrzy stali się mieszkańcami miast. Kiedyś migracje odbywały się w zupełnie inny sposób, niż jest to obecnie. Teraz w zasadzie jeździmy z miasta do miasta, przeprowadzamy się, kilka razy w życiu zmieniamy swoją lokalizację i zmieniamy nawet kontynenty. Nie stanowi to dla nas problemu. Kiedyś zamieszkanie na danym terenie było bardziej stałe. Przez te 300 lat, co Bambrzy tu mieszkają, rozmnażali się. Było ich coraz więcej. Zawierali związki małżeńskie z poznaniakami. Ostatecznie niemal połączyli się z poznaniakami.

Teraz czas na małą promocję. Opowiedz coś o Muzeum Bambrów Poznańskich i jego działalności. Dlaczego warto tu przyjść?

Nasze muzeum działa ponad 25 lat. Jest to bardzo wyjątkowe muzeum, ze względu na to, że działa ono na zasadzie wolontariatu. Prowadzone jest przez Towarzystwo Bambrów Poznańskich i po muzeum oprowadzają Bambrzy. Opowiadają w wyjątkowy sposób o swojej historii, przeszłości, rodzinie. Historia przemawia przez tych, którzy sami tej historii doświadczyli. Warto przyjść, posłuchać. Atmosfera jest niesamowita - rodzinna, gościnna. Bambrzy bardzo chętnie opowiedzą o tym, co w naszym muzeum jest. Mamy ekspozycję przedstawiającą dom bamberski z różnymi sprzętami, które były w takich domach, wystawę narzędzi: rolniczych, domowych i szewskich. Mamy wiele pamiątek, zdjęć fotografii, pocztówek, dokumentów i oryginalne elementy stroju bamberskiego, które było bardzo trudno uzyskać, ponieważ Bamberki chciały być chowane w swoich najpiękniejszych strojach. Nasze muzeum jest otwarte w poniedziałki i soboty od 10 do 14 lub w innym terminie po uprzednim umówieniu się telefonicznie. Jesteśmy otwarci na grupy. Bardzo chętnie wszystkich oprowadzimy.

Jeżeli chcielibyście poznać tajniki życia codziennego Bambrów to trzeba pamiętać, że jest to 300 lat historii i w zależności od okresu, różnie się Bambrami żyło. Byli Bambrzy, którzy mieli gospodarstwa i tacy, co mieli kamienice. Inaczej też wyglądało życie Dajerlinga, który prowadził bardzo słynny sklep żelazny. Jeśli o tym chcecie usłyszeć i się dowiedzieć czegoś więcej to zapraszam do muzeum!

Szczególne podziękowania składam również Panom Aleksandrowi Kubel i Grzegorzowi Gabler, którzy również oprowadzali mnie po muzeum i opowiadali historię Bambrów.

Klaudia MICHALAK
klamic11@st.amu.edu.pl

Ahoj Warszawo!

O 11. edycji Targów Książki w stolicy



9 września miało miejsce Uroczyste Rozpoczęcie

Ku radości miłośników książek, po dwóch latach powróciła jedna z największych imprez kulturalnych w Polsce. To właśnie w dniach 9-12 września 2021 roku na placu Defilad, przed Pałacem Kultury i Nauki, odbyły się Warszawskie Targi Książki.

Gościem honorowym 11. edycji WTK były Czechy. Z twórczością tamtejszych autorów można było zapoznać się choćby uczestnicząc w specjalnych panelach. Jak miewa się czeski rynek książki oraz komiksu i czym różni od naszego rodzimego — to tylko niektóre z zagadnień poruszanych w trakcie autorskich spotkań. Nie mogło oczywiście zabraknąć kwestii związanych z przekładem literatury. To nie lada wyzwanie, aby tłumaczyć dany tekst, uchwycić to, co pisarz miał na myśli i jednocześnie zrobić w formie zrozumiałej dla odbiorcy.

W trakcie targów ci czytelnicy, którzy nie mieli wcześniej do czynienia z tego rodzaju literaturą, nie zostali pozostawieni sami sobie. Na czeskim stoisku mogli liczyć na poradę odnośnie wyboru odpowiedniej dla siebie książki. Z pewnością sprzyja to przełamaniu swoich barier i sięganiu po nowe, nieznanne. I bardzo dobrze.

Uczestnicy WTK mogli również poszerzyć swoje doznania czytelnicze, zatrzymując się przy stoiskach m.in. z książką rumuńską, rosyjską czy hiszpańską.

Polacy nie gęsi...

O wielkiej popularności rodzimych pisarzy można było przekonać się m.in. spoglądając na ciągnące się rzędy osób, czekających na podpisanie książki i zrobienie pamiątkowej fotogra-

fii. Jednak uczestnikom WTK nie były straszne żadne przeciwności. Wyposażeni w odpowiednie torby, a nawet walizki, zaopatrywali się w to, po co właśnie przyjeżdża się na święto książek.

Nie tylko czytelnicy wrócili do domu z miłymi pamiątkami, ale również autorzy uhonorowani w trakcie imprezy. W ciągu tych kilku dni wręczono m.in. nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego dla Jessici Burder za reportaż literacki „Nomadland”, czy Ikara 2020 dla Mariusza Szczygła — ambasadora programu tegorocznego Gościa Honorowego.

To jeszcze nie wszystko

W dniach 9-12 września na placu Defilad odbywały się równoległe inne imprezy w ramach WTK. Tym, którzy lubią poczuć dreszcz emocji, z pewnością przypadł do gustu Festiwal Kryminalna Warszawa. W trakcie jego trwania ogłoszono zdobywcę Grand Prix — Ziemowita Szczerka za książkę „Cham z kulą w głowie”.

Osoby nieprzepadające za mrocznymi klimatami nie mogły narzekać na brak atrakcji. A szczególnie najmłodszy, gdyż został dla nich przygotowany specjalny program. Dzieci w trakcie warsztatów nauczyły się tego, jak powstaje komiks, a co dla nich jeszcze ciekawsze — narysowały to, co chciałyby w nim zawrzeć. Nicco starsi miłośnicy tego gatunku mogli w

trakcie paneli poznać historię komiksu, uczestnicząc m.in. w spotkaniu z autorami „Od Nerosolka do Yansa”.

A co należało zrobić, gdy od tego literackiego szaleństwa brakowało już sił? Wydawcy gier znaleźli odpowiedź na to pytanie, zapewniając m.in. strefy, gdzie można było zrelaksować się wygodnie na leżaku i za darmo wypożyczyć grę. To świetny sposób na integrację uczestników, którzy przyjechali w końcu z różnych stron Polski.

Pierwsze koty za płoty

Po raz pierwszy uczestniczyłam w tego typu imprezie i mam nadzieję, że nie ostatni. W dniach 9-12 września przemierzałam plac Defilad z ramienia Redakcji Stowarzyszenia Sztukater, nawiązując nowe współprace promocyjno-recenzenckie z wydawnictwami. Tym samym zdobywając doświadczenie dziennikarskie zupełnie na nowym polu.

Warszawskie Targi Książki to okazja nie tylko, aby zaopatrzyć się w ciekawe tytuły, ale również poszerzyć swoją wiedzę dotyczącą rynku wydawniczego, m.in. poprzez uczestnictwo w branżowych spotkaniach. Najistotniejszy jest jednak dla mnie czynnik ludzki. To było wspaniałe uczucie widzieć i poznać wielu pasjonatów literatury, komiksów oraz gier.

Białe namioty i przemierzający się między nimi tłum. To obrazek pozostający w mojej głowie po 11. edycji WTK. Napawa mnie to optymizmem na przyszłość, gdyż liczę, że statystyki związane z poziomem czytelnictwa w Polsce nie będą powodem do wstydu.

Milena GUZIK
milguz@st.amu.edu.pl

„Lucyfer” sezon finałowy – recenzja

„Lucyfer” to amerykański serial telewizyjny na bazie komiksu DC, który swój debiut miał 25 stycznia 2016 roku na antenie sieci telewizyjnej FOX, na której zlecenie powstały trzy pierwsze sezony. Od sezonu czwartego serial przejęła platforma Netflix. Premiera jego finałowego, szóstego sezonu miała miejsce na Netflixie 10 września 2021 roku, a więc ponad pięć lat od czasów wydania pierwszego epizodu.

To seria, która łączy wątki kryminalne z urban fantasy, czyli podgatunku literatury fantasy, którego akcja rozgrywa się w realiach współczesnego świata. Głównym jego bohaterem jest tytułowy Lucyfer, diabeł, w którego rolę wcielił się fenomenalny Tom Ellis. Pomaga on pani detektyw, Chloe Decker (w tej roli Lauren German) w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych. Na tym w znaczącej mierze skupia się serial do sezonu trzeciego, gdyż od czwartego (momentu, w którym przejął go Netflix) sprawy zaczynają się nabierać tempa i obejmować coraz bardziej „niebiańskie problemy”.

Po fenomenalnym zakończeniu sezonu 5B (sezon piąty został podzielony na dwie części wskutek negatywnego wpływu pandemii) przychodzi czas na finałowy 6 sezon. Oczekiwania były spore i znikome zarazem, bo, jak wiadomo, ostatnie odcinki bywają bardzo często zjawiskową... klapą. Jak jest w przypadku „Lucyfera”?

Lucyfer po wydarzeniach z sezonu 5B ma zamiar zasiąść na niebiańskim tronie jako „nowy Bóg” w miejsce swojego ojca, który odszedł na długo wyczekiwaną emeryturę do wszechświata swojej żony. Jednak czy jest na to gotowy? Jak poradzi sobie z tym Cloe oraz reszta bohaterów serii? Co czeka w piekle Dana (policjanta, w którego rolę wcielił Kevin Alejandro)? Co z Maze i Ewą? To jedne z wielu pytań, które zadawali sobie fani przed wrześniową premierą finału.

Sezon 6 zaczyna się z wielkim przytupem. „Ostatni dzień na ziemi” głównego bohatera rozpoczyna się ze świetnym nawiązaniem do sceny z pierwszego wydanego w 2016 odcinka, gdzie Lucyfer zostaje zatrzymany za szybką jazdę przez tego samego lokalnego policjanta. Raz jeszcze odbywa z nim podobną rozmowę, która kończy się wydaniem przez diabła sporej sumy pieniędzy. Później Lucyfera czeka intrygujące śledztwo, które wydaje się być ostatnim, jakie przeprowadzi na Ziemi... Jednakże jeśli by tak było, to nie byłoby, po co kręcić szóstego sezonu, prawda?

Lucyfer, jak można by się tego spodziewać, nie jest do końca gotowy, by zostać Bogiem i robi wszystko, aby tę sprawę odwlec. Dan natomiast nie potrafi pokonać swojej piekielnej pętli i wstąpić do nieba. Ella (Aimee Garcia) w końcu dostaje swoje pięć minut, a romans demonicy i pierwszej kobiety w końcu wchodzi w najważniejszą fazę. Jeśli na tych wątkach skupiłby się ostatni sezon serialu, to byłoby wręcz idealnie. Przygotowanie tego szczytu humoru i prostym nieprzesadzonym wyjaśnieniem kilku wątków byłoby jak nałożenie wiśni na torcie. Jednakże najprawdopodobniej chęć stworzenia nieszablonowego oraz zaskakującego zakończenia sprawiła, że twórcy musieli przedobrzeć.

Podróże w czasie w serialach, które nie są o podróżach w czasie, rzadko kiedy wychodzą na



Fragment 1 odcinka 6 sezonu „Lucyfera”

dobre. Tak było niestety i tym razem, gdyż od momentu poznania Rory, córki Lucyfera oraz Cloe z przyszłości, cały sezon szósty zaczyna się sypać, a absurd poganiany jest absurdem. Jednakże po kolei.

Rory (Brianna Hildebrand), czy może raczej Aurora, jest pół-człowiekiem, pół-aniółem, który pojawia się nagle i wprowadza istny zamęt. Swój debiut ma już w drugim odcinku (nie licząc tych kilkunastu sekund na końcu pierwszego), jednakże zważywszy na to, że sezon 6 ma ich tylko 10, to raczej niewiele, aby dobrze przedstawić nową postać.

Dziewczyna w trzecim epizodzie rzuca się na głównego bohatera, krzycząc, że ten porzucił ją oraz Cloe, a także półaniela domaga się wyjaśnień i jest niebawem wkurzona z powodu tego, że ich od niego nie otrzymuje. Kiedy w końcu daje dojść do słowa mężczyźnie, bo zamiast normalnie zadać pytanie, próbuje go od razu zabić, odpowiedź, że diabeł nie potrafi wyjaśnić czegoś, co się jeszcze nie wydarzyło, jej nie satysfakcjonuje i karuzela absurdu toczy się dalej.

Długo by tutaj opisywać każdą bezsensowną sytuację otaczającą Rory, gdyż był ich ogrom (począwszy od tego, że Lucyfer uznaje ją za swoją córkę, po tym jak dogłębnie spojrzal jej w oczy), dlatego odnośnie jej postaci skupię się głównie na wydarzeniach z ostatnich godzin serialu, a teraz przejdę do tego, co faktycznie udało się „Lucyferowi” w 6 sezonie. Były to... wątki poboczne.

Niestety w finale ciekawsze od głównej fabuły okazały się być epizody pobocznych bohaterów. Niektóre z nich trwały tylko jeden odcinek, inne ciągnęły się przez cały sezon i chociaż zabierały po kilka minut, to musiałam się powstrzymać przed przesunięciem czasu w niektórych momentach.

Jednym z nich był wątek Amenadiela (w tej roli David Bryan Woodside), starszego brata Lucyfera, który wstępuje w szeregi policji i na

własnej skórze przekonuje się, jak bardzo nie jest w tej pracy kolorowo.

Kolejnym był wspomniany już wcześniej wątek Dana, który przez Rory znajduje się na ziemi jako duch, gdyż nie był w stanie rozgryźć swojej piekielnej pętli i samemu wstąpić do niebios. Jego śmierć w sezonie 5B była jednym z najbardziej łamiących serce, a zarazem niesamowitych momentów serialu. Obserwowanie więc jego cierpienia (można odczuć realny ból, gdy nie może porozmawiać ze swoją córką) w sezonie 6 tylko potęgowało to wrażenie.

Nie można też zapomnieć o postępującym śledztwie Elli, która w końcu zaczynała coś podejrzewać. Jak to mówią lepiej później niż wcale. Szkoda, że poza tym wątkiem bohaterka zostaje praktycznie pominięta. Pojawia się jeszcze motyw jej wątpliwości co do jej nowego chłopaka, ale to zostaje rozstrzygnięte w jednym epizodzie, moim zdaniem zdecydowanie zbyt szybko.

Ostatnim z najciekawszych wątków był ślub Maze i Ewy, który został skomplikowany przez nagłe pojawienie się Adama, byłego pierwszej kobiety. Adam mógłby również zostać ciekawie poprowadzoną postacią, lecz ucierpiał na ten sam problem, co nowy chłopak Elli – zbyt mało czasu ekranowego i zbyt mało znaczenia dla fabuły, ostatecznie obecność ich obu w serialu nie wniosła nic, ani nic dobrego, ani też złego (choć było porwanie Lindy, w tej roli Rachael Harris, w tym serialu chyba każdy musi zostać chociaż raz porwany).

Wracając do tematu Rory, wspomniałam już, że podróże w czasie w serialach, które nie są o podróżach w czasie, rzadko kiedy wychodzą na dobre? Bo Aurora i cała jej historia jest wręcz tego podręcznikowym przykładem. Co prawda zakończenie jej wątku jest w miarę intrygujące, tak cała reszta jest jedną wielką klapą.

Aurora cofa się w czasie, by koniec końców Lucyfer mógł zrozumieć swoje powołanie i ją

uratować. Przez co nie mogą jej powiedzieć prawdy (dlaczego Lucyfer ich opuścił, bo je opuszcza), bo inaczej nigdy by nie poznał tego powołania. Jednakże, dlaczego w ogóle Aurora cofnęła się w czasie po raz pierwszy? Najlogicznym wytłumaczeniem byłoby, że takie są losy przeznaczenia i po prostu tak miało być. Jednak serial cały czas podkreśla rolę wolnego wyboru. Czemu Lucyfer nie mógł podjąć decyzji, że zostanie? Bo nie poznałby swojego powołania? Ale przecież już je poznał... Jak zdecydować się nie opuszczać Cloe i Rory to je zapomni, czy co się stanie?

Kolejną z tych większych „zagwozdek” jest to, jak zły pan morderca łapie Rory w więzy w ostatnim odcinku z ekipą, która w ogóle nie kwestionuje tego, że więżą aniola. Złoczyńca tak po prostu jest w stanie schwytać półaniela, której skrzydła są ostre niczym noże, która potrafi się nieźle bić (przecież Rory przyszpiliła Lucyfera do ściany) i ją spętać. Jak? W ogóle jak ją znalazł? Skąd się w ogóle wzięła reszta jego ferajny? Na żadne z tych pytań nigdy nie otrzymujemy odpowiedzi.

Ostatnie minuty sezonu są co prawda dość motywujące, Lucyfer jako terapeuta, pomagający ludziom wyjść z piekielnej pętli, „bo każdy zasługuje na drugą szansę” jest ciekawym pomysłem. Skoro diabeł został lepszym człowiekiem, dlaczego i my nie możemy?

Podsumowując zakończenie serialu, z którym mam dość dużo wspomnień, gdyż oglądam go praktycznie, odkąd zaczął wychodzić, było jednym z gorszych, jakie można sobie wyobrazić. „Lucyfer” moim zdaniem zdecydowanie powinien skończyć się na sezonie 5B, ewentualnie z paroma bonus odcinkami, które domknęłyby niewyjaśnione wątki. Brakowało również w finale charakterystycznego dla serii humoru, przez co oglądanie go było jeszcze bardziej męczące.

Trudno nie doszukiwać się w filmach o najbardziej znanym agencie Jej Królewskiej Mości jednej z najważniejszych franczyz w historii kina. Wraz z „Nie czas umierać” zamyka się kolejny jej etap. Choć jest bardziej niż pewne, że nastaną kolejne, to ten miniony zasłużył na godne zamknięcie. Era Daniela Craiga jako Jamesa Bonda dobiegła końca i choć dla niektórych nie był on najlepszym 007 w historii, to dziedzictwo, jakie po sobie zostawił, jest olbrzymie, a najnowsza odsłona tylko to potwierdza.

Łańcuch zdarzeń

„Nie czas umierać” kontynuuje sposób prowadzenia fabuły, który został zapoczątkowany od pierwszego pojawienia się Craiga w „Casino Royal”. Najnowsza część ponownie nawiązuje scenariuszowo do poprzednich czterech filmów serii i nieprzygotowani na to mogą być mocno zmieszani fragmentami nowej odsłony. Nie oznacza to, że historia w „Nie czas umierać” będzie wtedy zupełnie niezrozumiała, bo można potraktować ją jako oddzielny element i wciąż czerpać z niej radość, jednak zbyt wiele wątków zapoczątkowanych na przestrzeni ostatnich lat znajduje tutaj swój wydzźwięk, by móc obok nich przejść zupełnie bez wiedzy.

Tak oto więc jesteśmy rzućmy w rozbudowanej introdukcji, wpiętej do wspomnień z niekoniecznie szczęśliwego dzieciństwa Madeleine Swann, ukochanej Bonda ze „Spectre”, a następnie do sielankowego pobytu wyżej wymienionej pary tuż po wydarzeniach z poprzedniej części. Pomimo krótkiego résumé przed seansem, pierwsze ekranowe minuty były dla mnie goniącą myślą i próbą skojarzenia potrzebnych faktów, co było problematyczne jednak zaledwie do pierwszej sceny akcji, które są jednymi z jasniejszych punktów, ale o tym za chwilę.

Na płaszczyźnie fabularnej mamy tutaj do czynienia z Jamesem Bondem na bocznym torze i to zupełnie z własnego wyboru. Gdy po odejściu ze służby spędza spokojnie chwile na Jamajce, świat ponownie się o niego upomina, gdy groźba ze strony nowego i tajemniczego złooczyńcy Lucyfera Safina oraz odrodzonej organizacji Spectre zmusza bohatera do zmierzenia się z kolejnymi wyzwaniem. Emeryturę Bonda przerywa znany skądinąd Felix Leiter, wciągając agenta

To była przyjemność, Panie Bond – recenzja filmu „Nie czas umierać”



Kadr z filmu

007 nie tylko w intrygę zagrażającą światu, ale i wewnętrzną grą pomiędzy CIA i MI6.

Skrajności

Choć obie te składowe są motorem napędowym i sprawdzają się w tej roli całkiem dobrze, to film cierpi na kilka luk scenariuszowych. I to pomimo faktu, że cały obraz rozrósł się pod okiem Cary'ego Fukunagi do długości prawie trzech godzin. Reżyser znany z „Detektywa”, choć nie zdążył odpowiedzieć na wiele fabularnych wątpliwości (a być może nie chciał tego robić?), to „Nie czas umierać” mija naprawdę szybko. Jest to zasługa także ciekawych sekwencji akcyjnych. Fukunaga nie szczędzi widzom dynamicznych pościgów, strzelanin z rozmachem czy licznych wybuchów. Ot, standardowy schemat filmów z Bondem, ale na wyjątkowo wysokim poziomie. Akcje we Włoszech czy na Kubie są najlepszym tego przykładem. Finałowe sceny na wyspie z kolei zapamiętacie na długo, niestety nie tylko ze względu na dobrze zrealizowane sceny akcji, ale i momenty dłużyzn.

Tutaj dotykamy sedna problemu filmu. „Nie czas umierać” jest trawione przez skrajności. Z jednej strony mamy bardzo długi format, który momentami pędzi na łeb na szyję zostawiając nas z wieloma pytaniami, a z drugiej trafiają się

fragmenty wymuszone i niepotrzebnie przedłużone. Momentami obcujemy z luźną formułą, doprawioną szczyptą humoru, ale czasem i naturalnie poważną, innym razem za to patos wylewa się z ekranu aż do granic możliwości. Główna intryga jest szalenie interesująca, jednak brak w niej odpowiedniej motywacji dla wielu z działań antagonistów. Dla mnie te gorzkie pigułki były do przełknięcia, lecz obawiam się, że dla niektórych będzie to poważnym minusem.

Blockbusterowy artyzm

Nie można za to Fukunadze odebrać reżyserskiego sznytu, jaki ujawnia się w filmie niejednokrotnie. Długie ujęcia, malownicze scenerie, czy interesujące przejścia i układy przestrzeni rzucają się w oczy niekiedy bardziej widocznie, innym razem raczej subtelnie, ale składa się to na bardzo przemyślaną i dobrze poprowadzoną całość. Za zdjęcia odpowiadał Linus Sandgren znany chociażby z pracy nad „Pierwszym Człowiekiem”, „La La Land” czy „American Hustle” i tutaj także nie schodzi poniżej pewnego wypracowanego poziomu. Trudno wymagać od tak dużego komercyjnego hitu, by był wypełniony po brzegi autorskim kunsztem, ale twórcy ewidentnie mieli pomysł na to, jak ten film powinien smakować od strony technicznej,

a efekt jest bardzo dobry. Muzyka wybitnego Hansa Zimmera, choć nie jest najwspanialszym dziełem w karierze kompozytora, tylko efekt ten podkreśla.

Być może byłbym zbyt złośliwy mówiąc, że „Nie czas umierać” to teatr jednego aktora, lecz to właśnie Daniel Craig niesie na swoich barkach znaczną część aktorskiego ciężaru. Dla niektórych zbyt drewniany, dla innych za mało sprawny, ale Bond Craiga jest postacią z krwi i kości. A to jest wielką zasługą całej nowej pentalogii. Agent 007 odegrany jest z odpowiednią powagą, ale nie brak mu naturalnej charyzmy i aktorskiego sznytu.

Na mniejsze pochwały zasługują Lea Seydoux w roli Swann oraz Rami Malek jako Safin. Daleko mi do krytykowania tych ról, ale równie daleko także do uwielbienia. Po prostu solidnie i sprawnie odegrane, nie więcej, nie mniej. Safin jednak jako postać cierpi na brak odpowiedniego zarysowania. Mówimy o postaci, która wywraca całą dotychczas stworzoną hierarchią przeciwników Bonda z ostatnich lat, a nie wiemy o niej niemal nic, poza szczątkami informacji podanymi nam w chwilach spokoju pomiędzy realizacją diabolicznego planu. Z pewnością za to ciekawe, choć nie rozwinięte dostatecznie kreacje są dziełami Any de Armas i Lashany Lynch w rolach odpowiednio Palomy i Nomi. Trzymam kciuki, byśmy zobaczyli je ponownie w tych wcielaniach, bo potencjał mają ogromny.

Kurtyna w dół

Bez względu na bondowskie schematy, jakie „Nie czas umierać” powiela, to właśnie w tych utartych rozwiązaniach sztuką było zdobyć się na coś interesującego. W ten sposób dostajemy film nie tyle o agencie 007 jako zawodowcy, ale o Jamesie Bondzie jako człowieku i wszystkich problemami, które idą za tym dualizmem. Taka zresztą była cała opowieść o Bondzie Daniela Craiga. „Nie czas umierać” wpisuje go już na dobre w karty historii serii i robi to złotymi zgłoskami. Mimo kilku potknięć i niezrozumiałych rozwiązań, to właśnie jest godne zwrócenie dla bardziej niż godnego Bonda. Kurtyna.

Ocena: 8/10

Wiktor KĘPIŃSKI

wikkep@st.amu.edu.pl

Złote setne urodziny?

W meczu 11. kolejki PKO BP Ekstraklasy Lech Poznań pokonał na wyjeździe Legię Warszawa 1:0 po голу Mikaela Ishaka i obronił fotel lidera. „Kolejorz” zdobył stolicę po raz pierwszy od sześciu lat. To może być jeden z kluczowych momentów sezonu, mimo że do jego zakończenia zostało jeszcze wiele spotkań.

Lech imponuje formą, rzadko pozwala sobie na potknięcia. Po jedenastu kolejkach ma na koncie aż 24 punkty, co daje mu wysoką średnią 2,18 pkt na mecz. Drużyna prowadzona przez trenera Macieja Skorzę może pochwalić się najsukcesowniejszym atakiem (23 strzelone gole) oraz najszczelniejszą obroną (sześć goli straconych). Kryzys oczywiście prędzej czy później się pojawi, ale „Kolejorz” już udowodnił, że potrafi wychodzić z opresji. Duma Wielkopolski pokazała charakter w meczu z Pogonią Szczecin, w którym uratowała remis, grając w dziesiątkę. Na duże uznanie zasługując też odrobienie dwubramkowej

straty w wyjazdowym spotkaniu z Rakowem Częstochowa. Mecz zakończył się remisem 2:2, a przecież Lech mógł nawet wygrać, gdyby nie pudło Joao Amarala. Przy Portugalczuku warto zatrzymać się na dłużej. Powrocie z wypożyczenia jest on kluczowym piłkarzem zespołu i plasuje się w czołówce ligowej klasyfikacji kanadyjskiej. Liderem strzelców jest Mikael Ishak, a dobre liczby dorzuca również Jakub Kamiński. Zdecydowany postęp poczyniła też defensywa Lecha, która aż sześciokrotnie zagrała na „zero” z tyłu.

W ostatnich latach problemem „Kolejorza” była gra przy pełnych trybunach. Ten sezon jest jednak inny. Dwa spotkania z najwyższą frekwencją zakończyły się rozbięciem Wisły Kraków (5:0) oraz Śląska Wrocław (4:0).

Lech potknął się jedynie na inauguracji sezonu z Radomiakiem Radom (0:0) oraz na wyjeździe z Jagiellonią Białystok (0:1). W obu tych meczach miał zdecydowaną przewagę i powinien je zamknąć już w pierwszej połowie.

Zwycięstwo nad Legią było dla drużyny Macieja Skorzę o tyle istotne, że zbudowało ono na



Piłkarze Lecha Poznań po raz pierwszy od sześciu lat wygrali ligowy mecz wyjazdowy z Legią Warszawa (1:0)

prawdę dużą przewagę nad aktualnym Mistrzem Polski i jednocześnie największym rywalem w walce o tytuł. Wynosi ona aż 15 punktów. Oczywiście stołeczny klub ma dwa zaległe mecze. Jeśli je wygra, różnica zmaleje do dziewięciu oczek, co jest pokazną zaliczką przed dalszą częścią sezonu. Lech czuje na plecach oddech Rakowa Częstochowa, Lechii Gdańsk i Pogoni Szczecin. Na szczęście zespół z Poznania ma już za sobą wszystkie wielkie mecze i do końca roku kalendarzowego terminarz, przynajmniej w teorii, będzie go oszczędzał.

Trener Maciej Skorża, jego sztab oraz piłkarze sprawili, że kibice Lecha zaczęli na poważnie myś-

leć o mistrzostwie czy nawet dublecie. Atmosfera po ubiegłym roku była naprawdę fatalna, a jedenaste miejsce, jakie zajął „Kolejorz” to najgorsza pozycja od kilkunastu lat. Wówczas pojawiały się uzasadnione obawy, że Lech zawali wyjątkowy dla siebie sezon. Wyjątkowy, ponieważ w marcu będzie obchodził setne urodziny, które mają ogromne znaczenie dla wszystkich w klubie.

Z pewnością jest jeszcze za wcześnie, żeby strzelać korkami od szampana, ale optymizmu nie da się ukryć. Lech znów wzbudził pozytywne emocje w swoich kibicach. Sprawił, że fani żyją od meczu do meczu.

Marcin OSTROWSKI

Kto był najlepszy na szosie w 2021 roku?

Il Lombardia była ostatnim wyścigiem z cyklu World Tour i tym samym zwieńczyła tegoroczny sezon w kolarstwie szosowym. We włoskim monumencie najlepszy był Tadej Pogacar, który na finiszu pokonał Fausto Masnadę. Dla Słoweńca to kolejny wielki triumf w roku. Jednak poza nim w tym roku wyróżnili się jeszcze inni zawodnicy.

Tadej Pogacar

Rok 2020 stał pod znakiem Tadeja Pogacara, kiedy fantastycznie wygrał Tour de France. Nie inaczej było także w 2021 roku. Słoweńiec sezon rozpoczął od pewnego zwycięstwa w UAE-Tour. Później jeszcze przed Tour de France łupem Pogacara padły Tirreno-Adriatico oraz Tour of Slovenia. Natomiast apogeum formy zawodnika UAE-Team Emirates przypadło na „Wielką Pętlę”. Na niej Tadej Pogacar kompletnie zdominował rywalizację i nad drugim Jonasem Vingegaardem miał ponad pięć minut zapasu. Słoweńiec dobrą formę pokazał już na wygranym piątym etapie, ale na ósmym odcinku z Oyannax do Le Grand-Bornand pokazał prawdziwy pokaz siły, gdy po ponad 30-kilometrowej ucieczce uzyskał trzy minuty przewagi nad swoimi najgroźniejszymi rywalami. Później Pogacar już tylko powiększał różnicę pomiędzy sobą a pozostałymi kolarzami, wygrywając po drodze jeszcze 17. i 18. etap. Jednak nie było to jedne wielkie zwycięstwo Tadeja Pogacara w tym sezonie, ponieważ triumfował także w dwóch monumentach. W kwietniu po finiszu z małej grupki wygrał Liege-Bastogne-Liege. Natomiast na zakończenie roku po doskonałej ucieczce i pokonaniu Fausto Masnady dopisał do swojego konta Il Lombardia. Dopiero 23-letni Słoweńiec stał się trzecim kolarzem w historii, po Eddym Merckx i Fausto Coppim, który w jednym sezonie wygrał Tour de France oraz dwa monumenty. Ponadto pierwszy raz od 2004 roku Il Lombardia padł łupem debiutanta. Udane dla Pogacara były także igrzyska olimpijskie w Tokio. W nich zdobył brązowy medal w wyścigu ze startu wspólnego, gdzie musiał uznać wyższość Richarda Carapaza i Wouta van Aerta.

Primož Roglič

Można powiedzieć, że słoweńska dominacja się nie kończy. Primož Roglič po przegranej zeszłorocznym Tour de France chciał się zrewanżować Pogacarowi. Jednak o tegorocznej „Wielkiej Pętli” Roglič chciał jak najszybciej zapomnieć, ponieważ po upadkach i poniesieniu wielkiej straty na ósmym etapie były skoczek narciarski zmuszony był wycofać się z rywalizacji. Jednak ta porażka Roglicia jeszcze bardziej go zmotywowała do dobrego zaprezen-

towania się na igrzyskach olimpijskich. Najpierw miał duży wkład w zdobycie brązowego medalu przez Tadeja Pogacara w wyścigu ze startu wspólnego, a następnie zdominował rywalizację w jeździe indywidualnej na czas, gdzie drugiego Toma Dumoulina wyprzedził o ponad minutę. Zwieńczeniem dobrej jazdy Roglicia w drugiej części sezonu była Vuelta a Espana. Tam podobnie jak Pogacar na Tour de France odniósł pewny triumf, nie pozostawiając rywalom złudzeń, dzięki wygraniu aż czterech etapów. Dla Primoža Roglicia było to już trzecie zwycięstwo z rzędu w Vuelcie. Do tej pory udało się to tylko Tonemu Romingerowi oraz Robertowi Herasowi. Natomiast końcówkę sezonu Słoweńiec zwieńczył wygranym klasyku Mediolan-Turin.

Egan Bernal

Pomimo porażki i zajęcia dopiero szóstego miejsca na Vuelta a Espana Kolumbijczyk może zaliczyć 2021 rok za udany za sprawą jego początku. Wtedy w ramach przygotowań do Giro d'Italia zajął trzecie miejsce w Tour de la Provence i czwarte w Tirreno-Adriatico. Te dwa kilkietapowe wyścigi okazały się bardzo wymiernie w szykowaniu jak najlepszej dyspozycji na Giro. Na pierwszym wielkim tourze Bernal pokazał świetną formę i w cuglach zdobył różową koszulkę. Swoim rywalom nie pozostawił złudzeń szczególnie na 16. etapie z Sacile do Cortina d'Ampezzo, gdzie po długiej ucieczce wygrał odcinek, a swój triumf w całym Giro d'Italia przypieczętował na czasówce w Mediolanie.

Sonny Colbrelli

Zawodnik Bahrain Victorious jest pierwszym kolarzem w zestawieniu, który nie liczy się na wielkich tourach, ale jest bardzo mocny na wyścigach klasycznych. Włoch nieźle się prezentował już w pierwszej części sezonu, gdy wygrywał klasyfikacje punktowe na Tour de Romandie oraz Criterium de Dauphine. Następnie dołożył mistrzostwo Włoch w wyścigu ze startu wspólnego. Jednak to, co najlepsze dopiero miało nadejść. Na początku września Colbrelli wygrał kilkietapowy wyścig Benelux Tour, by po chwili zostać mistrzem Europy. Na mistrzostwach świata co prawda Sonny Colbrelli ostatecznie nie zdobył medalu, ale fantastycznie spisał się na Paris-Roubaix. Podczas przełożonego „Piekla Północy” Włoch zabrał się w najważniejszą ucieczkę i na sprinterskim finiszu pokonał Florian Vermeerscha i Mathieu van der Poela.

Julian Alaphilippe

Mistrz świata z Imoli na początku sezonu prezentował się przyzwoicie, ale nie było jeszcze tego, czego zarówno Francuz jak i jego kibice oczekiwali. Alaphilippe podczas wiosennych klasyków triumfował tylko w La Fleche Wallonne, a w wielkich monumentach w walce o zwycięstwo liczył się tylko w Liege-Bastogne-Liege, w któ-

rym zajął drugą lokatę. Później zawodnik Deceunick-Quick Step wygrał pierwszy etap Tour de France i zdobył koszulkę lidera, ale miał ją na sobie tylko przez jeden dzień. Po „Wielkiej Pętli” Alaphilippe za cel postawił sobie obronę mistrzowskiego tytułu z zeszłego roku. Ostatecznie udało mu się tego dokonać. Na czempionacie we Flandrii Francuz zaatakował na ostatnich dwudziestu kilometrach, nie oddając prowadzenia aż do końca i tym samym broniąc tęczy koszulki mistrza świata. Wyczyn Alaphilippe'a należy docenić, ponieważ został pierwszym w historii kolarzem, który dwa razy z rzędu zdobył złoty medal po samotnym ataku.

Richard Carapaz

Głównym celem dla Ekwadorczyka w tym sezonie było wygranie Tour de France. W ramach przygotowań do „Wielkiej Pętli” Carapaz wziął udział w kilku klasykach oraz w Tour de Suisse, które wygrał. Natomiast na samym Tour de France kolarz Ineos Grenadiers nie był w stanie nawiązać walki z Tadejem Pogacarem. Pomimo ambitnej jazdy nie udało mu się zdobyć żółtej koszulki, a sam ostatecznie zajął trzecią lokatę, ponieważ przed nim uplasował się jeszcze Jonas Vingegaard. Natomiast Carapaz brak zwycięstwa w Tour de France powetował sobie chwilę później na igrzyskach w Tokio. W wyścigu ze startu wspólnego Ekwadorczyk zaatakował wraz z Brandonem McNulty'm, którego później zostawił z tyłu i z ponad minutową przewagą zdobył złoto. W tamtym momencie Carapaz był dopiero drugim olimpijczykiem z Ekwadoru, który zdobył medal na igrzyskach. Poprzednim był Jefferson Perez, który miał na swoim koncie złoto i srebro w chodzie na 20 kilometrów.

Wout van Aert

Ostatnim kolarzem wśród tych najlepszych w 2021 roku jest Wout van Aert. Belg przez cały sezon prezentował wysoką, równą formę. Na początku sezonu van Aert wygrał Amstel Gold Race i Gent-Wevelgem oraz plasował się na podium Mediolan-San Remo. Natomiast w siedmioetapowym Tirreno-Adriatico zajął drugą lokatę w klasyfikacji generalnej. Podczas Tour de France Wout van Aert oczywiście nie liczył się w walce o zwycięstwo, ale i tak spisał się znakomicie, wygrywając trzy etapy. Co ciekawe każdy z nich był o innej specyfikacji. Najpierw triumfował na bardzo trudnym 11. odcinku z dwukrotnym podjazdem na legendarne Mont Ventoux. Następnie wygrał 20. etap, który był jazdą indywidualną na czas, a na sam koniec rywalizacji we Francji zwyciężył na sprinterskim finiszu na Polach Elizejskich. Po Tour de France van Aert wywalczył srebrny medal olimpijski w wyścigu ze startu wspólnego. Belg na podium stanął także podczas mistrzostw świata we Flandrii, gdzie zdobył srebro w jeździe indywidualnej na czas.

Kacper Tyczewski

Życie na sportowym piedestale

Dwukrotnie srebrna na najważniejszych wydarzeniach czterolecia, wicemistrzyni olimpijska w kolarstwie górskim z Pekinu i Rio de Janeiro Maja Włoszczowska pożegnała się z wyczynowym sportem wyścigiem maratońskim w ukochanym crossie. Rywalizacja na włoskiej Elbie zakończyła się srebrnym medalem, mimo to dla kolarskiej rodziny ważniejsza od samej walki była ona, wielka Majka.

Przygodę z kolarstwem górskim rozpoczęła jeszcze w ubiegłym stuleciu. Pierwsze starty w 1997 roku odbyła pod egidą klubu KS Śnieżka Karpacz. Dwa lata zajęło jej, aby po raz pierwszy, lecz nie ostatni, zostać najlepszą. W 1999 roku została mistrzynią Polski juniorów w barwach klubu z Piechowic. Wtedy wypatrzył ją ojciec pierwszych sukcesów, trener Andrzej Piątek. Dał szansę startów w drużynie narodowej, której to okazji perfekcyjna Majka nie zmarnowała. W juniorach sukcesów nie brakowało, jeszcze w 2002 roku w hiszpańskiej Sierra Nevada była srebrna na mistrzostwach świata. Przed nią jednak była bardzo wymagająca droga, przejście z juniorskiego do seniorskiego ścigania wydawało się być procesem długim i morderczym.

Pełnoletniość sportowych sukcesów

W 2003 roku stanęła na starcie w mistrzostwach świata w crossowym maratonie. Wtedy dwudziestoletnia warszawianka nie była uważana za faworytkę. Przyjechała do mety pierwsza i zdobyła złoto - kolor, który przez kolejne osiemnaście lat nie opuścił Polki. Każdy kolejny rok to kolejne medale i trofea do sportowej gabloty. Na swoich pierwszych igrzyskach w Atenach była

szósta, zawód minął szybko, gdy na światowym czempionacie zdobyła srebrny medal. Wyczyn powtórzyła w 2005 roku, w Livigno przegrała tylko z wielką Gunn- Ritą Dahle. W kolejnych mistrzostwach była trzecia w sztafecie. W 2007 znowu druga, znowu w zespole. Polacy byli słabsi tylko od Szwajcarów, królów kolarstwa górskiego.

Najlepsza z najlepszych

Igrzyska olimpijskie w Pekinie. Wielkie wyróżnienie samego startu to było nic dla niezniszczalnej Mai. Po trudnych przygotowaniach zdobyła swój pierwszy olimpijski krążek. Przyjechała do mety tylko za Sabiną Spitz. Od tego momentu nie dała rywalkom zepchnąć się z podium. Najlepsza była też w 2010 roku. Złoto czempionatu globu przywiezione z Kanady upewniło ją w fakcie, iż czołówka kobiecego crossa to właśnie ona. W 2011 i 2013 roku po raz kolejny stanęła na drugim stopniu mistrzostw świata i tylko Londynu żal. W 2012 roku forma w roku olimpijskim to szczyt marzeń każdego sportowca. Była najlepsza w pucharze świata. Do stolicy Zjednoczonego Królestwa jednak nie pojechała. Na treningu w ukochanym Livigno upadła i szansę na kolejny medal przepadła. Kolejne lata, mimo iż w czołówce, bez większych medalowych sukcesów. Przełamanie nastąpiło w najważniejszym momencie. 2016 rok i zwieńczenie olimpiady w Rio, cztery lata poświęcenia przyniosły upragniony efekt. Włoszczowska stanęła na starcie wyścigu i jak na wielką mistrzynię przystało, z roli faworytki się wywiązała. Wywalczyła srebro i drugie wicemistrzostwo olimpijskie. Zmierzch kariery to znów romans z maratonem i kolejne sukcesy, dwa srebra i brąz w 2018, 2020 i 2021 roku zakończyły medalowy szlak wielkiej sportsmenki.



Maja Włoszczowska na mecie 10 w Rio

Ostatni taniec i kolejne wyzwania

Na starcie wielkiej imprezy stanęła raz jeszcze. Przełożenie igrzysk w Tokio jej nie pomogło, rok starsza Majka jak zwykle jednak nie poddała się i walczyła do samego końca. Tokio to igrzyska dla Włoszczowskiej wyjątkowe. Razem z Pawłem Korzeniowskim była chorążym całej polskiej reprezentacji. Tydzień później, jeszcze w trakcie igrzysk, odniosła duży sukces na innym polu. Została wybrana do Komisji Zawodniczej MKOl, o czym zdecydowali sportowcy startujący w Tokio. W głosowaniu na czterech członków komisji otrzymała drugi najlepszy wynik z grona 30 kandydatów z 30 państw. Więcej uzyskała tylko słynny hiszpański koszykarz Pau Gasol. Jej kadencja potrwa do zakończenia igrzysk w Los Angeles w 2028 roku. Sportowe pożegnanie z polskimi kibicami nastąpiło w ukochanej Jeleniej Górze, gdzie w Parku Paulinum dziękowały jej setki kibiców kolarstwa i sportu, którego Majka przez ponad dwadzieścia lat była znaczącą częścią.

Eryk WIĘSYK
erywie@st.amu.edu.pl